

MAJA HABER

Klątwa Ciemni

RETELLING KOPCIUSZKA ORAZ
PIĘKNEJ I BESTII W JEDNYM



Copyright © 2023

Maja Haber

Wydawnictwo Nowe Strony

All right reserved

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Magdalena Magiera

Korekta:

Wiktoria Kulak

Kinga Rutkowska

Karolina Piekarska

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Autorka ilustracji:

Marta Michniewicz

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-662-2

MAJA HABER

KLĄTWA CIERNI

OŚWIĘCIM 2023

1

Tego roku zima była wyjątkowo surowa i przyszła wcześniej niż zwykle, ozdabiając nagie drzewa szronem, malując pudrowe wzory na oknach oraz przykrywając ziemię białą pierzyną aż po same strzechy. Okoliczna rzeka Nagwa miejscami zamarła w śliskie lustro, a większość dróg traktu została odcięta na długie tygodnie.

Tego też roku madame Waldorff postanowiła, że jej rodzina potrzebuje zdjęcia – stanowiło ono prestiż w ostatnich latach, zmuszający elity do wydawania pieniędzy na sprowadzenie do włości mistrza fotografii.

Tamtego dnia ona i jej córki pozowały przed kominkiem do stojącego na cienkich nóżkach pudła z wielkim, ciemnym oknem, a wąsaty mężczyzna starał się jak mógł, by wydobyć nieistniejące piękno z trzech nadętych kobiet.

– Olina, specjalnie depcesz mi suknię! – Taya spurpurowiała ze wzburzenia. – Mamo, zrób coś z nią! Tak nie można!

– Nie moja wina, że twoje cielsko zajmuje tyle miejsca! – odpowiedziała pogardliwie Olina, zyskując tym samym gniewne spojrzenie siostry.

– Dziewczęta, spokój! Olina, jesteś damą, nie byle dziewczką, więc dbaj o swój język! – Upominała je nalana tłuszczem madame Waldorff, która chyba nawet w latach młodości nie uchodziła za nazbyt piękną.

Na starość zrobiła się jeszcze bardziej szpetna w ciężkiej, zielonkawej sukni, z której wylewał się obfity biust, ozdobiony potężnym, jak jego właścicielka, szafirem. Grubą, obwisłą twarz

przykrywał do połowy przechylony kapelusz w tym samym kolorze co suknia, a z jego boku sterczały rzadkie, pawie pióra.

Guzowate paluchy kobiety puchły w ciasno nałożonych na nie pierścieniach, połyskujących klejnotami.

– Niech panienka z lewej nieco przysunie się do matki – poprosił nieśmiało fotograf, ścierając lnianą chusteczką krople potu z czoła. Chudy i tyczkowaty jak odnogi aparatu wydawał się dusić w ciasnym kołnierzu koszuli, którą co rusz luzował palcem wskazującym.

W całym tym zamieszaniu nie sposób było dostrzec starszego już pana, o włosach białych jak gołębie skrzydła, zachowującego spokój na łagodnej, miłej twarzy. Pozował do zdjęcia za żoną i córkami, trochę onieśmielony, trochę zażenowany, po czym spojrzał ku schodom, gdzie stała młoda dziewczyna – ostatnia z rodziny, która jednak nie dostała zaszczytu uwiecznienia swej twarzy na fotografii.

Uśmiechnęła się do niego nieznacznie, jakby dodając otuchy.

Natia Waldorff miała dwa, ciężkie warkocze w kolorze pustynnego piasku oraz duże, błękitne oczy, osadzone w owalnej, bladej twarzy z wąskimi ustami. Każdy postronny uznałby, że jest miła dla oka, ale raczej pod wieloma względami pospolita w swej urodzie. Brwi i rzęsy w równie jasnym co włosy kolorze sprawiały, że wydawała się blada, a czasami nawet anemiczna.

Niespodziewanie drzwi w holu otwarły się z hukiem, a do salonu wpadł podmuch lodowatego wiatru, który wzdął suknie kobiet. Te zanosły się krzykiem donośnego protestu.

– Zef, na Andagora! Tylko nie nanieś śniegu na dywan! – Madame Waldorf chwyciła za kapelusz, ażeby wiatr nie strącił go psotną ręką, po czym posłała synowi karcące spojrzenie. – Co tak późno? Zaczęliśmy bez ciebie!

– Konie, matko, same się nie obsłużą. – Wysoki młodzieniec obdarował ją całusem w policzek, tuż po tym, jak pojawił się w wejściu.

Niedawno odbył obowiązkową służbę wojskową w Lagorii i to chyba ona musiała sprawić, że tak niesamowicie wydorosła: urosł, robiąc się przy tym postawniejszy, przez co doskonale prezentował się w skórzanych, wysokich butach i ciemnym, żołnierskim płaszczu.

Zrzucił go na oparcie szezlongu, na co madame Waldorff westchnęła cierpiętniczo. Następnie, nie zdejmując butów, ustawił się do zdjęcia z taką miną, jakby ta sytuacja go bawiła.

Podobnie jak ojciec zerknął na Natię i uśmiechnął się ujmująco wesoło. W jego ciemnych oczach migotało rozbawienie. Całe to zdarzenie uważał za nic więcej jak farsę.

Pach! Pach! Pach!

Aparat wydał dźwięki podobne do uderzeń noża o twardą powierzchnię, a salon zalało oślepiające światło, które pozostało na tęczówkach pozujących migoczące gwiazdy.

Gdy było po wszystkim, starszy pan odezwał się:

– Natia, a może teraz dołączysz do nas?

– Archibaldzie! – Madame Waldorff spiorunowała go wzrokiem.

– Natia też jest członkiem naszej rodziny – rzekł mężczyzna z łagodną przekorą.

– Od kiedy służba należy do rodziny? – Olina wyduła wargi, wyraźnie urażona.

– Natia nie jest służką – przypomniał Zef, stając po stronie ojca. – Chciałbym mieć z nią zdjęcie.

– Zefie, mam dosyć twojego buntowniczego zachowania!

– Madame wzniosła ręce ku górze, dając wyraz swej bezsilności.

– Nie muszę mieć zdjęcia – wtrąciła się pojednawczo Natia, dostrzegając zagubienie malujące się na twarzy mistrza fotografii.

Madame ze wzburzeniem poprawiała ciężką suknię.

– Temat zakończony. Nie chcę potem słyszeć plotek, że Waldorffowie bratają się z pospólstwem.

Archibald wyglądał, jakby miał na końcu języka jakieś słowo, ale zduśił je w odmętach swojej spokojnej, nieskorej do kłótni natury.

Pyk. Pyk. Pyk.

Z dołu aparatu wysunęły się niewielkich rozmiarów prostokąty, które mistrz fotografii najpierw uważnie obejrzał, a następnie podał matronie rodu.

– To są prototypy, madame. Nazywa się je odbitkami. Wywołanie wyraźniejszego zdjęcia zajmie kilka tygodni.

– Popatrzcie, to naprawdę my! – Taya z niedowierzaniem zajrzała matce przez ramię.

– Raczej ty! – zaburczała Olina. – Zajmujesz cały kadr! Nas prawie nie widać!

– Mamo! Słyszysz, co ona mówi?

– Spokój! – Madame uniosła dłoń jak ostrze noża. – Czego to ludzie dzisiaj nie wymyślą! – Przyjrzała się uważnie ziarnistemu obrazowi. – Za moich czasów długie godziny pozowało się do portretów.

– Deleyowie też zrobili sobie zdjęcie – wtrąciła nagle Taya. – Podobno każde z nich trzymało książkę w ręce. Genialny pomysł, prawda?

– Myślisz, że z książką wyglądałabyś mądrze? – Olina zmierzyla ją pogardliwym spojrzeniem. – Twojej głupiej gęby nic nie zatuszuje.

– Mamo! Ucisz ją wreszcie! Ona jest okropna!

– Książki... książki... Dziewczęta! Już wiem! – Madame rzuciła niedbale odbitkami w mistrza fotografii, jakby to były świstki papieru. – Wszystkie ubierzemy się w jeden kolor!

– Och, mamciu! Cudownie! Proponuję niebieski! – Taya klaśnęła w dłonie.

Mistrz roztrzęsionymi dłońmi zebrał zdjęcia z podłogi.

– W niebieskim wyglądam blado, wolę coś różowego – sprzeciwiła się Olina.

– Nie! Żadnego różu! – jęknęła Taya marudnie. – Nie mamy pięciu lat!

– Spokój! Na Andagora, dziewczęta! – Madame poczerwieniała ze złości. – Można by pomyśleć, że mieszkamy w kurniku, taki robicie tu wrzask! Na górę! Migiem! Wymyślimy coś, jak już zajrzemy do garderoby! Przebijemy koncepcję Deleyów!

Rade ze swojej pomysłowości, a także lisiego sprytu, pognały schodami, wymijając Natię jak ducha.

W tym momencie starszy pan uśmiechnął się konspiracyjnie i przywołał do siebie dziewczynę gestem ręki.

– Pan zrobi zdjęcie mnie i mojej córce. – Archibald zwrócił się z poleceniem do mistrza fotografii, który sprawiał wrażenie coraz bardziej zirytowanego.

– Tak, tak, oczywiście. – Mistrz odłożył delikatnie odbitki na stół i zabrał się do pracy.

– Podejź tu! – Archibald ponownie zwrócił się do dziewczyny.

Natia zawahała się, spoglądając w stronę piętra, skąd dochodziły krzyki macochy i sióstr.

– Nie przejmuj się Theresą. – Archibald lekceważąco machnął ręką. – Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Za to moje serce pragnie mieć zdjęcia wszystkich dzieci, nim wyruszę w podróż.

Natia poczuła ścisk w żołądku na myśl, że ojciec wkrótce wyjedzie.

– No dalej, Natia. – Zef chwycił dziewczynę za dłoń i przyciągnął ją do siebie. – Zrobienie zdjęcia wcale nie boli. Chyba nie wierzysz, że to kradnie duszę, co?

– No coś ty. – Obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem, po czym stanęła obok ojca, który natychmiast otoczył ją ramieniem.

– Uśmiechnij się – poprosił Archibald i kiedy Natia rozciągnęła szeroko wargi, oślepił ją błysk.

Chwilę potem z aparatu wyłoniła się odbitka.

– Wyglądasz, jakby ktoś cię kopnął w nogę. – Zef wybuchnął śmiechem, jako pierwszy biorąc zdjęcie do ręki.

– Oddawaj! – Natia rzuciła się na niego, ale ten odepchnął ją, śmiejąc się głośniej.

– Nie słuchaj Zefa. On nie rozumie takich rzeczy jak zdjęcia – stwierdził łagodnie Archibald.

– Ależ ojcze! Sam ich nie rozumiesz! To wymysł matki! – parsknął Zef.

– Oddawaj! – Natia wyrwała mu zdjęcie. Było przez to wszystko nieco pomięte, ale wciąż mogła podziwiać na nim chwilę, gdy stała przed kominkiem u boku ojca, jakby naprawdę była prawowitą częścią tej rodziny. Tak jak zawsze marzyła. – Czy ja tak wyglądam, gdy się uśmiecham? – Zmarszczyła brwi.

– Absolutnie zawsze, sostro! – Zef szturchnął ją łokciem w ramię.

– Schowam je za płaszcz, gdy wyjadę. – Archibald odebrał je dziewczynie i pogładził równe krawędzie zdjęcia niezwykle pieszczotliwie. Potem zgarnął ze stołu pozostałe odbitki. – Dzięki nim będę miał wrazenie, że jesteście ze mną.

– Ojcze... – Chciała coś powiedzieć, ale właśnie wtedy rozległ się wrzask.

– Natia! Chodź tu natychmiast! Gdzie są moje karmazynowe pantofelki?!

– Obok tych szpetnych botków z zeszłego sezonu – mruknęła Natia, zakasując rękawy, jakby szykowała się do batalii.

– Nie daj zjeść się żywcem! – Zef puścił do niej oko.

– Idąc na spotkanie z gargulcami? Nie wiem, czy to możliwe! – Obejrzała się na brata przez ramię, a potem czym prędzej pognała schodami, by nie narazić się na złość madame Waldorff.

Późnym wieczorem, gdy zamknęła już za sobą drzwi od sypialni na poddaszu, Natia kucnęła na podłodze i odgięła czerwony dywan, który najlepsze lata miał już dawano za sobą, a kunsztowne

wzory – kiedyś najpewniej rażące oczy wspaniałością – wyblakły i zszarzały.

Pod dywanem znajdowała się luźniejsza deska, którą dziewczyna podniosła, wyjmując z ciemnego otworu niewielki, ale najpewniej ciężki woreczek, związany sznurkiem. Wysypała z niego garść brzęczących monet i zaczęła je metodycznie przeliczać, jak każdego wieczoru. Moneta za monetą, chociaż trwało to kilka minut. Chciała się raz jeszcze przekonać, ile ciągle brakowało jej do osiągnięcia pełnej sumy, pozwalającej na rozpoczęcie samodzielnego życia. Pragnęła wstąpić do cechu krawieckiego i pobierać lekcje przez pięć lat nauki pod okiem jakiegoś mistrza lub mistrzyni, jednak wymagało to niemałej opłaty.

Minęło już siedemnaście lat, odkąd Archibald Waldorff przywiózł ją w postaci kwilącego tobołka po jednej ze swoich służbowych podróży do kopalni.

Madame Waldorff nie odzywała się do męża prawie przez miesiąc, przeświadczona, że niespodziewane, wrzeszczące wniebogłosy dziecko jest efektem romansu Archibalda, ale kiedy Natia zaczęła dorastać, a włosy na jej głowie okazały się białe jak śmietana, madame mogła odetchnąć z ulgą. Dziewczynka w niczym nie przypominała Archibalda, nawet w najmniejszym stopniu.

Mimo to niesmak pozostał w macosze do dzisiaj.

Natia wrzuciła monety z powrotem do woreczka i niemalże z nabożną czcią włożyła go pod podłogę, zakrywając swoją tajemnicę deską.

Zdawała sobie sprawę, że gdyby ojciec dowiedział się o jej planach, pękłoby mu serce, ale nie mogła wечно chować się pod tym dachem, akceptowana tylko przez część rodziny.

Wciąż jeszcze wiele brakowało do pełnej sumy, ale była bliżej niż dalej. Comiesięczne wynagrodzenie, jakie macocha łaskawie wkładała do ręki dziewczyny, było skąpe. Nawet jeśli kobieta

uważała ją za zwykłą służbę, płaciła o wiele mniej niż innym pracownikom w domu.

Mimo to Natia odkładała skrupulatnie każdą monetę. Liczyła, że może na wiosnę udadzą się do stolicy, a wtedy porozmawia z Melemą, czy ta nie przyjęłaby jej pod swoje skrzydła za odrobinę mniejszą sumę, jeśli powie, że pozostałą należność odpracuje, kiedy tylko nadarzy się ku temu okazja.

Pokrzepiona tą myślą udała się spać.